

LUBIĘ SIĘ MIERZYĆ Z TRUDEM INTERPRETACJI.
Z PROFESOREM BENEDETTEM BRAVO ROZMAWIAJĄ
ANDRZEJ GILLMEISTER I ADRIAN SZOPA*

Panie Profesorze, proszę opisać dom rodzinny. Jak wyglądały Włochy lat trzydziestych ubiegłego wieku?

Urodziłem się na wsi niedaleko Bassano del Grappa (60 kilometrów na północ od Wenecji). Dzisiaj miejsce mojego dzieciństwa trwa tylko w mojej pamięci, bo wieś stała się peryferyjną częścią miasta, a zapachy polne zostały zastąpione smrodem benzyny i fabryk. Tylko góry zostały takie same, chociaż nieco zaśmieczone willami, za to bardziej zalesione niż kiedyś (bo pod koniec wojny i na początku pokoju ludzie szli tam rąbać drzewa na opał). Moi rodzice byli nauczycielami w szkole podstawowej. Moja matka uczyła w naszej rodzinnej wiosce, ojciec natomiast w sąsiednim mieście. Miałem troje rodzeństwa. Gdy miałem niecałe pięć lat, mama nie wiedziała, co ze mną zrobić, i wzięła mnie ze sobą do szkoły. Posadziła gdzieś w kącie sali lekcyjnej i ja przysłuchując się pomału zacząłem uczyć się ze starszymi dziećmi. Najprawdopodobniej uczyłem się nie do końca prawidłowo, bo do dzisiaj czytam powoli i w trakcie lektury słyszę w głowie dźwięk każdego słowa. Z jednej strony jest to wada, bo czytając powoli, nie mogę dużo czytać. Z drugiej jednak czytam uważnie, zastanawiam się nad sensem słów, widzę także prawie wszystkie literówki. Może moje zainteresowania filologiczne w jakiś sposób wiążą się z takim sposobem lektury?

Z dzieciństwa nie pamiętam wiele, takie atomy wspomnień. Ale chciałbym opowiedzieć o jednym wydarzeniu. W szkole podstawowej uczyła mnie moja mama. Kiedyś chciałem się o coś spytać, podniosłem rękę i zacząłem: „Proszę pani nauczycielki...”. Pozostali uczniowie wybuchnęli śmiechem, bo wszyscy doskonale wiedzieli, że nauczycielka jest moją mamą. Dla mnie jednak w szkole mama była nauczycielką. Miałem już wtedy poczucie różnicy między stosunkami prywatnymi a instytucjonalnymi oraz szacunek dla instytucji.

* Podstawą tego tekstu jest wywiad z prof. Benedettem Bravo przeprowadzony przez Adriana Szopę i Andrzeja Gillmeistera 22 kwietnia 2016 r. Rozmowa powstała w ramach cyklu „Rozmowy z Mistrzem” Ośrodka Dokumentacji Filmowej Nauki Polskiej Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie oraz Stowarzyszenia Historyków Starożytności. Nagranie jest dostępne w Archiwum Historii Mówionej: <http://stowarzyszeniehistorykowstarozytnosci.edu.pl/portfolio/benedetto-bravo/>.

Z tej wiejskiej szkoły podstawowej pamiętam, że w zimie uczniowie mieli zeszyty przesiąknięte zapachem gnoju ze stodoły, w której spędzali wieczory z całą rodziną, aby było im ciepło dzięki ciepłu pochodzącemu od krów. (Gawędzenie w stodole przez długie wieczory zimowe nazywało się *far filò* – zwrot ten pochodził, jak przypuszczam, od *filare*, czyli ‘przędzenia’; w tych czasach jednak kobiety już nie przędły). Dzieci chłopskie miały buty z drewnianą podeszwą. Zresztą ksiądz, który mnie ochrzcił, też miał takie buty, tyle że pod drewnem była warstwa gumy. Tenże ksiądz katechizował mnie i moich rówieśników ze wsi: lekko dotykając długim kijem bambusowym głów niezdyscyplinowanych, kazał nam recytować chórem odpowiedzi katechizmu na pytania tegoż katechizmu. Ja tego kija nie potrzebowałem: sumiennie uczyłem się, ile jest cnót kardynalnych, ile cnót teologicznych, ile występków, ile *novissimi* (czyli po łacinie *novissima*, rzeczy ostateczne: śmierć, piekło, raj i czyściec) tudzież na ile sposobów człowiek może zgrzeszyć (może zgrzeszyć myślą, słowem, czynem i zaniedbaniem).



Bohater wywiadu w swoim warszawskim mieszkaniu.

Fot. Emilia Bravo

Czy rodzice odegrali rolę w kształtowaniu się zainteresowań Pana Profesora?

Bardzo niewielką. Moja mama czytała dużo, ale literaturę niezbyt wysokiego lotu. Ojciec nie czytał nic prócz gazet. Jest to dla mnie pewną zagadką, bo był to bez wątpienia inteligentny człowiek. Człowiek dobry, łagodny i prawy. Był dla mnie wzorem moralnym. Ale w kształtowaniu się moich zainteresowań intelektualnych nie odegrał roli. One pojawiły się samorzutnie.

Gdy miałem dziewięć lat, w roku 1940 – dla Włoch był to pierwszy rok wojny – zacząłem naukę w Bassano, w *scuola media*. Jeździłem rowerem. Miałem tam nauczyciela, jak parę lat później zrozumiałem, głupiego. Był faszystą, udającym wojskową twardość. Zimą chodził bez palta, prawdopodobnie w imię faszystowskiej zasady: „my nie lubimy wygodnego życia”. Miał dziwną, staroświecką metodę dydaktyczną: ze swojego starego zeszytu dyktował nam reguły gramatyki łacińskiej i wymagał, żebyśmy uczyli się ich na pamięć. Słowo w słowo jak nam podyktował. Metoda najgłupsza z możliwych, mimo to gramatykę polubiłem i nauczyłem się łaciny. Na początku miałem pewne kłopoty, może wynikało to z tego, że jednak byłem nieco młodszy od moich kolegów. W trzeciej klasie łacina, można powiedzieć, wybuchła we mnie. Gdy na koniec tej klasy mieliśmy przygotować streszczenie sporych kawałków *De bello Gallico*, napisałem je po łacinie. Nie wiem, jaka ta moja łacina była; prawdopodobnie niedobra.

Antyk dla Włochów to niemal historia narodowa...

Nie przesadzajmy. Twierdzenie, że jesteśmy spadkobiercami Rzymu imperialnego, należało do haseł propagandy faszystowskiej. Na wieś ona słabo docierała, ale gdy już uczyłem się w Bassano, stała się dla mnie bardziej widoczna. W roku 1940, 1941, pamiętam, w tak zwane „soboty faszystowskie” uczniowie byli zbierani na pustym polu na przedmieściu i tam ćwiczyliśmy, powiedzmy, musztrę wojskową. Mieliśmy małe, drewniane muszkiety. Pamiętam, że brałem to serio (wybaczam to sobie, bo miałem wtedy dziewięć lub dziesięć lat, do krytycyzmu jeszcze nie dojrzałem). Skoro władze kazały ćwiczyć, myślałem, że ćwiczyć należy: władze należy przecież szanować. I denerwowałem się na kolegów, którzy nie traktowali tego zadania serio. Maszerowałem więc z tym drewnianym muszkietem i starałem się wypełniać polecenia. Musztra kończyła się podwójnym okrzykiem, ku czci króla i *duce* („Per il Re: Viva il Re! E per il Duce: A noi!”).

Jak wyglądała rzeczywistość czasów wojny z punktu widzenia kilkuletniego chłopca?

Na całe szczęście moja rodzina nie została bezpośrednio dotknięta działaniami wojennymi. Mój ojciec był już za stary, żeby otrzymać powołanie. Na wsi w pierwszych paru latach wojna była dotkliwa głównie ze względu na kłopoty z zaopatrzeniem, ale i tak było lepiej niż w miastach. Bassano było bombardowane w 1943 roku. Raz po lekcjach byłem świadkiem bombardowania oddalonego o trzysta metrów mostu. Gorzej było później, pod koniec 1943 roku i w 1944, w czasie okupacji hitlerowskiej i faszystowskiej republiki. Pamiętam między innymi, że w mieście powieszono kilkudziesięciu partyzantów złapanych przez faszystów po dużej operacji wojskowej w pobliskich górach. Szkoła została przeniesiona z centrum na peryferie miasta. Mimo

niebezpieczeństwa bombardowań uczęszczałem na lekcje regularnie. Jednocześnie w tym najcięższym czasie sam byłem szczęśliwy, bo zacząłem uczyć się greki i przez parę miesięcy mieliśmy nauczyciela, który był niecodziennym człowiekiem: był nim Giuseppe Frasson. Interesował się językiem, literaturą i architekturą ormiańską, historią sztuki, muzyką, miał jakieś wykształcenie językoznawcze, był (jak później zauważyłem) głęboko religijny. Po pierwszych paru miesiącach roku szkolnego przestał się pojawiać w szkole: jak się później ukazało, schował się gdzieś, aby nie zostać powołanym do nowo zorganizowanego wojska faszystowskiego. Na samym początku, gdy nauczyliśmy się dopiero greckiego alfabetu, akcentów i przydechów, wyjaśnił nam, co to są języki indoeuropejskie. Zafascynowało mnie to. W tym samym czasie zacząłem uczyć się niemieckiego w szkole pod kierunkiem starej nauczycielki z Trydentu, która się nauczyła tego języka chyba za czasów cesarza Franciszka Józefa; gramatykę niemiecką też polubiłem. Porównywałem słowa greckie, łacińskie, włoskie, weneckie (bo poza szkołą mówiło się po wenecku) i niemieckie starając się uchwycić podobieństwa i zrozumieć różnice. Czas wojny, ale dla mnie szczęśliwy czas rozwoju zainteresowań i lektur. Czytałem, co mogłem, z literatury włoskiej.

W kwietniu 1945 roku front zbliżał się do nas. Pamiętam, że siedziałem u siebie w pokoju i czytałem Owidiusza. Przez okno widziałem amerykańskie pociski wybuchające trzy kilometry dalej. Wkrótce wojna się skończyła.

Jakie książki utkwiły Panu Profesorowi w pamięci z tamtych czasów?

Niewiele pamiętam. Znalazłem, nie wiem gdzie, jedną książkę o starożytności, ale nie pamiętam tytułu. Później, gdy byłem w liceum, korzystałem z biblioteki szkolnej. Pamiętam, że czytałem wszystkie tomy wierszy Giovanniego Pascolego (z wyjątkiem wierszy łacińskich). Czytałem też – okropność! – libretta paru oper Wagnera, po niemiecku, ponieważ Frasson wygłosił kiedyś odczyt o muzyce Wagnera. Z tejże biblioteki wypożyczyłem stare wydanie tekstu greckiego *Prac i dni* Hezjoda i przepisałem je sobie w całości (kserokopiarki ani skanera wtedy nie było). Tylko częściowo wtedy rozumiałem Hezjoda, ale już wtedy lubiłem się mierzyc z trudem interpretacji.

Skąd zainteresowanie starożytnością?

Najpierw z powodu łaciny. Tępy profesor, który uczył mnie łaciny w tak głupi sposób, jest dowodem na to, że zła metoda może czasami przynieść dobry skutek. Intelktualnie obudził mnie jednak ów nauczyciel, który opowiadał o językach indoeuropejskich i kapitelach bizantyńskich. Po wojnie miałem z nim kontakt, widywałem go prywatnie. Był weneccjaninem, co może tłumaczyć jego zainteresowanie kulturą ormiańską, bo w Wenecji jest cała wysepka zamieszkała od dawna przez Ormian, którzy mają tam klasztor, kościół, bibliotekę, wydawnictwo.

Liceum nie było dla mnie inspirujące. Miałem wtedy niespecjalnie dobrych, ale też niespecjalnie złych nauczycieli greki, łaciny, literatury włoskiej i filozofii. Nauczyciel filozofii uczył też historii. W ówczesnym systemie edukacyjnym, stworzonym w latach dwudziestych przez filozofa-ministra Giovanniego Gentilego, te dwa przedmioty były ze sobą połączone, chyba zgodnie z pohegłowską myślą, że filozofia jako osobna nauka się skończyła i przemieniła się w rozumienie dziejów jako dziejów

Ducha. Wbrew tej koncepcji nasz nauczyciel historię niemal zupełnie pomijał, ograniczał się do podania stron w podręczniku, które musieliśmy przeczytać. Całą uwagę poświęcał filozofii, był tomistą. A ja już wtedy czułem, że jest to przestarzały sposób myślenia. W rozmowach poza szkołą starał się przekonać mnie do tomizmu, bez skutku. W latach licealnych dojrzałem do myśli krytycznej.

Jeżeli chodzi o języki klasyczne, czułem się już swobodnie, jak u siebie. Pamiętam, że gdy w ramach klasówek wykonywaliśmy tłumaczenia, to z łaciny tłumaczyłem na włoski, a z greki na włoski i na łacinę i robiłem to szybko. Natomiast jeżeli chodzi o pisanie wypracowań po włosku, to szło mi to bardzo powoli. Przychodziły mi do głowy myśli, ale miałem kłopoty z przełożeniem ich na układ (*kosmos*) zdań. W 1943 roku zadano nam interpretację jednego z wierszy Pirandella. Zrozumiałem po raz pierwszy utwór dogłębnie, miałem nawet pewne – jak mi się zdawało – niegłupie przemyślenia filozoficzne, ale nie zdążyłem napisać więcej niż kilka zdań w wyznaczonym czasie i otrzymałem pierwszą w życiu ocenę niedostateczną. Odczułem to jako niesprawiedliwość.

Wybór studiów filologicznych wydaje się naturalny.

Był naturalny w tym sensie, że czułem się w tej dziedzinie pewnie. Ale chciałem próbować czegoś innego. Nęciła mnie historia, historia literatury, ale przede wszystkim filozofia. Na początku próbowałem coś robić z historii filozofii. Jeden z profesorów wyznaczył mi zadanie bardzo trudne, badanie pism łacińskich młodego, „przedkrytycznego” Kanta. Wtedy rozumiałem, że filozofia nie jest dla mnie. Moim najważniejszym nauczycielem na uniwersytecie był filolog klasyczny Giorgio Pasquali, wykształcony przed I wojną światową w Rzymie i w Getyndze (był do Getyngi bardzo przywiązany; pamiętał motto napisane na ścianach knajpy getyńskiej: *extra Gottingam non est vita; si est vita, non est ita*). I to on zaważył na wyborze mojej drogi naukowej. To był nauczyciel z urodzenia, bardzo żywy w kontaktach. Ale nie chciałem zatrzymać się tylko na filologii i postanowiłem zrobić magisterium z historii starożytnej. Sama filologia nie zadowalała mnie i zdecydowałem się na taki krok, mimo że wiedziałem, iż będzie to przykre dla Pasqualego. Powiedziałem mu o mojej decyzji. On zareagował jak człowiek wyrozumiały: powiedział mi, że w moim wieku taka niepewność w wyborze drogi może czasami być dobrym znakiem. Temat pracy magisterskiej, który dostałem, nie był dla mnie dobry. Zaproponowano mi pisanie o instytucjach politycznych Seleukidów. Moja wiedza historyczna nie była wówczas duża. Po pewnym czasie wróciłem do mojego promotora, którym był Giovanni Pugliese Carratelli (inteligentny historyk, o bardzo szerokich zainteresowaniach, neapolitańczyk, który wykształcił się w środowisku Benedetta Crocego), i poprosiłem o zmianę tematu. Dostałem nowy temat: miałem analizować pierwszą część *Athēnaiōn politeia* (pisma przypisywanego Arystotelesowi) pod kątem układu i źródeł informacji. Przywitałem tę propozycję z radością. Miałem tylko kilka miesięcy na napisanie pracy, ale byłem zadowolony z efektu. Okazało się, że potrafię coś dobrego wymyślić tylko wtedy, gdy mogę wgłębiać się w jeden tekst lub niewielką grupę tekstów i od tego iść coraz dalej.

Dlaczego zdecydował się Pan na studia w Pizie?

W Pizie oprócz uniwersytetu jest specjalna instytucja, swego rodzaju college, do którego wchodzi się przez konkurs państwowy. Scuola Normale Superiore poza wiktem i opierunkiem dawała możliwość uczestniczenia w seminariach na bardzo wysokim poziomie. Pasquali przyjeżdżał tam co dwa tygodnie na dwa dni i prowadził seminarium z literatury greckiej i literatury łacińskiej. Byli tam też inni bardzo dobrzy profesorowie. Na przykład Augusto Campana, pełniący funkcję bibliotekarza w Bibliotece Watykańskiej, wielki erudyta, badacz literatury humanistycznej XV wieku, odkrywca nieznanych rzeczy w różnych bibliotekach. Przyjeżdżał on do Pizy w weekendy, aby w kilkusobowej grupie studentów uczyć paleografii łacińskiej. Przydało mi się to wiele lat później, gdy wydawałem mały strzęp kodeksu zawierający fragment zaginionej księgi XI Liwiusza – strzęp znaleziony przez Włodzimierza Godlewskiego w jakimś eremie egipskim. Raz, w niedzielę, po mszy w katedrze pizańskiej, Campana przeczytał słabo widoczne inskrypcje średniowieczne na ścianach tejże katedry; potem nas tam zabrał, by pokazać nam, jak te inskrypcje przeczytać. Z kolei Alessandro Perosa miał wykłady o dziele humanisty Angela Poliziana pod tytułem *Miscellanea*, zbiorze małych rozpraw filologicznych powstałym w końcu XV wieku, który odegrał ważną rolę w dziejach filologii nowożytnej. Intelktualnie Scuola Normale była środowiskiem nauczycieli i studentów bardzo wymagającym, żywym i krytycznym. Nawet trochę frustrującym, bo czasem boleśnie wskazywało braki. Szkoła ta była równoległa z uniwersytetem, więc uczęszczałem na wykłady uniwersyteckie i zdawałem tam egzaminy. Ciekawe były dla mnie wykłady z językoznawstwa ogólnego, ćwiczenia z epigrafiki greckiej, z papirologii (papirologiem tam był wtedy Vittorio Bartoletti, wydawca między innymi *Hellenica Oxyrhynchia*).

Scuola Normale dysponowała pewną liczbą stypendiów i po uzyskaniu dyplomu zaoferowano mi roczne stypendium w Oksfordzie. Pojechałem na rok akademicki 1953/1954.

W 1953 roku wyjeżdża Pan Profesor do Oksfordu.

Tak. Na powitaniu w Brasenose College przyjął mnie *moral tutor*, który powiedział mi:

– Pana ojczyzna ma wielką kulturę, ale proszę brać pod uwagę, że nasza kultura także jest wielka.

Co on sobie o mnie myślał? Bardzo daleki byłem od jakiejkolwiek nacjonalistycznej pychy, raczej byłem świadomy słabości państwa włoskiego i ubóstwa włoskiego społeczeństwa. Z *moral tutor* było to na szczęście jedyne spotkanie. Moim tutorem naukowym stał się Antony Andrewes. Był to człowiek bardzo sympatyczny, inteligentny, skromny i solidny, ale widocznie miał dużo innych obowiązków, bo niewiele czasu znajdował dla mnie. Miałem z nim luźny kontakt, choć rzadkie z nim spotkania w jego gabinecie w New College były dla mnie przyjemne i pouczające. W Oksfordzie zajmowałem się tematem zapoczątkowanym w magisterium. Zacząłem analizować jeden epizod z historii Aten, dla którego *Athēnaiōn politeia* jest podstawowym źródłem razem z Tukidydesem, czyli wydarzenia z 411 roku. Na koniec pobytu napisałem tekst na ten temat i przekazałem tutorowi; niestety nie miał

czasu, żeby się do niego od razu ustosunkować. Być może to, co napisałem, nie spodobało mu się, a on nie chciał mi sprawić przykrości. Mniejsza o to. Od tego tematu szybko odszedłem; badanie wydarzeń politycznych nie bardzo mnie pociągało. Wiele lat później pisałem do Andrewesa parokrotnie zadając mu pytania o inne sprawy, a on odpowiadał obszernie. Odwiedziłem go raz, gdy był na emeryturze – jak się okazało, rok przed jego śmiercią. Był nieco smutny, chyba zmęczony. Z dziedzińca New College pokazał mi palcem okna pokoi, gdzie przez wiele lat pracował. W pewnym momencie, ni stąd, ni zowąd, powiedział:

– Tukidydes zabrał mi spory kawałek życia.

Rzeczywiście ogromną i bardzo solidną robotę wykonał on komentując Tukidydesa. Właśnie teraz wykorzystuję intensywnie i podziwiam jego komentarz.

Pod koniec mojego rocznego stypendium dyrekcja Scuola Normale Superiore w porozumieniu z władzami British Council chciała przedłużyć mój staż w Oksfordzie na następny rok. Ale w Scuola Normale był samorząd studencki, który prowadził spór z dyrekcją, kto ma decydować o przyznawaniu stypendiów. Zawarto porozumienie, że stypendia mają być przyznawane przez dyrekcję w uzgodnieniu z samorządem. Dowiedziałem się jednak, że moje przedłużenie nie było z nim uzgodnione. Czuąc się zobowiązany do solidarności, zrezygnowałem ze stypendium. Pamiętam, co mi powiedział na pożegnaniu szef (*principal*) mojego college'u, znakomity historyk Rzymu Hugh Last:

– U nas studenci nie roszczą sobie takich praw.

Po powrocie do Włoch funkcjonowałem w zawieszeniu. Był to czas, w którym było bardzo trudno dostać etat na uniwersytecie, ale też i w szkole średniej (boom gospodarczy jeszcze się nie rozpoczął na dobre). Trochę uczyłem prywatnie. Potem dostałem dziewięciomiesięczne stypendium w Neapolu, przyznane przez Istituto Italiano per gli Studi Storici założony przez Benedetta Crocego. Podczas pobytu w Neapolu pilnie czytałem Tukidydesa, poznawałem miasto i uczęszczałem na wykłady. Najciekawsze były dla mnie wykłady z historii francuskiej myśli historycznej XIX wieku (Tocqueville), prowadzone przez Federica Chaboda, Piemontczyka, znakomitego badacza dziejów nowożytnych (polityki i myśli politycznej) i świetnego wykładowcę.

Potem ubiegałem się o stypendium Deutscher Akademischer Austauschdienst (DAAD) i w 1955 roku pojechałem do Hamburga (wybranego przeze mnie ze względu na to, że uczył tam Bruno Snell). Uczestniczyłem w zajęciach profesora Brunona Snella, w budynku stojącym samotnie w pustce powstałej po bombardowaniach. W drugim semestrze prowadził on, razem z Ernstem Kappem, seminarium, podczas którego czytaliśmy świeżo wydane papirusy zawierające fragmenty liryki greckiej. Powierzył mi zadanie przygotowania referatu o wydanych dwa lata wcześniej papirusach z fragmentami Anakreonta. Było to dla mnie ważne doświadczenie. W maju, „im wunderschönen Monat Mai, / da alle Vögel sangen”, jak pisał Heinrich Heine, radośnie koncentrowałem się na pracy nad świeżymi tekstami. Pojawiły się problemy z interpretacją jednego z fragmentów, w którym mowa o jakimś groźnym dziecku. Referat wygłosiłem, wyjaśniłem wiele spraw w sposób, który Snellowi

i Kappowi się spodobał, ale w końcu, gdy Snell zadał pytanie, kim jest to dziecko, o którym mowa w wierszu, nie umiałem odpowiedzieć. Snell wtedy powiedział:

– Eros!

Wykrzyknąłem natychmiast:

– *Ja!*

Tamto „*Ja!*” jeszcze grzmi w mojej głowie. Było to jednak tylko częściowe rozwiązanie zagadki. W następnych latach co jakiś czas powracałem do tego fragmentu Anakreonta, aż w końcu, kilka lat temu, znalazłem satysfakcjonujące mnie rozwiązanie: ten wiersz jest żartem sympozjalnym, mówiącym o Erosie jako bogu, który wzbudza żądzę władzy wśród obywateli ateńskich, doprowadzając ich do szału w rywalizacji politycznej, toczącej się w świeżo powstałej demokracji. W Hamburgu sporo dyskutowałem, między innymi miałem okazję przekonać się, że społeczeństwo zachodnioniemieckie porządnie poradziło sobie z nazistowską przeszłością. Snell był jednym z rzadkich uczonych niemieckich, którzy od początku konsekwentnie byli przeciwko nazizmowi. Był świadomy, że profesura niemiecka z lat trzydziestych-czterdziestych nie rozumiała niczego z polityki, była tępa pod tym względem, dlatego tak łatwo dała się zbałamucić Hitlerowi. Za swoje zadanie uznał po wojnie otwarcie akademii na świat i działał na tym polu bardzo konsekwentnie. Stworzył między innymi Europa-Kolleg. Właśnie „Europa” – to wiele mówi o jego poglądach, a pamiętajmy, że było to zaledwie dekadę po zakończeniu II wojny światowej. Wiele lat później odwiedziłem go w Hamburgu; pamiętam, że bardzo chwalił Willy’ego Brandta; powiedział mi:

– On jest czysty.

A jak włoskaademia poradziła sobie ze spadkiem po Mussolinim?

Cóż... Wielka popularność dyktatora wykruszyła się już właściwie w toku wojny, gdy nasza imperialna potęga okazała się fikcją. Po wojnie nastąpiła defaszyzacja. Była dosyć powierzchowna i łagodna. Ale nie było chyba większego powodu, żeby silniej działać. Reżim, który upadł w 1943 roku, był już przedtem wewnętrznie zmurszały. Resztki, które pozostały po tym upadku, pod okupacją niemiecką, aż do wiosny 1945 roku, doprowadziły do krwawej wojny domowej. Ale po wiosnie 1945 roku przestały być groźne. My nie czuliśmy się już związani z tamtą ideologią. Mussolini nas nie zainfekował dogłębnie. Dyktatura faszystowska nie była tak mocna jak w Niemczech. Wystarczy wspomnieć, że Croce, powszechnie znany jako wróg faszyzmu, mógł stosunkowo spokojnie publikować i funkcjonować w swoim prywatnym kręgu; reżim nie odważył się zadziałać przeciwko jego autorytetowi intelektualnemu.

Oksford czy Hamburg – który pobyt był dla Pana Profesora ważniejszy?

Hamburg, dzięki Brunonowi Snellowi. Poza tym czułem się lepiej w kulturze niemieckiej. Anglicy byli dla mnie zbyt doskonali. Znałem już dobrze język niemiecki, był to język w zasadzie podstawowy podczas mojej edukacji uniwersyteckiej. Angielskiego zacząłem uczyć się w Pizie, a francuskiego nauczyłem się sam, kiedy byłem w liceum. Raz zachorowałem poważnie i przez trzy tygodnie leżałem w łóżku. Czytałem wtedy *Wojnę i pokój* Tołstoja. We włoskim wydaniu, które miałem, rozmowy po francusku były przetłumaczone w tekście na włoski, a w przypisie podane

w oryginale. Czytałem obie wersje i porównywałem. Potem podczas wakacji znalazłem jakąś powieść Anatola France'a. Przeczytałem i z grubsza zrozumiałem.

Czyli nauczył się Pan francuskiego czytając włoski przekład rosyjskiej powieści?

Tak jest, tak to wyszło. Przy czym zupełnie nie znałem wymowy. Na uniwersytecie miałem bardzo utalentowanego kolegę, który specjalizował się w literaturze francuskiej, i on nauczył mnie wymowy. Temu koledze zresztą zawdzięczam wyjazd do Paryża. Po powrocie z Hamburga nadal byłem bezrobotny. Kolega miał wtedy posadę lektora języka włoskiego w Paryżu. Nie pamiętam, w jaki sposób, ale pomógł mi otrzymać podobne stanowisko, czyli lektora włoskiego, też w Paryżu.

W którym roku wyjechał Pan Profesor do Paryża?

W 1956 roku. W Paryżu spędziłem cztery lata ucząc języka włoskiego. Przez rodzinę włosko-francuską, z którą się zaprzyjaźniłem, wszedłem w środowisko lewicowych intelektualistów. Oni osobiście znali Jeana-Pierre'a Vernanta i zaproponowali, żebym chodził na prowadzone przez niego zajęcia. To było dla mnie ważne spotkanie naukowe. Poza tym przez Vernanta poznałem innego wybitnego uczonego, starego już wtedy Louisa Gerneta, który wykształcił się w szkole socjologicznej Durkheima i był związany z socjologiem Maussem i sinologiem Granetem. Przez ostatnie trzy lata jego życia chodziłem na jego wykłady o tragedii greckiej. Właśnie teraz kończę artykuł o *Antygonie* Sofoklesa i zaglądam do notatek, które zrobiłem w 1959 roku na wykładach Gerneta. Z Vernantem miałem bliskie kontakty, był bardzo przyjacielski, ciepły, czułem się swobodnie w jego towarzystwie, jakby wzmocniony jego jasnym umysłem, rozważą, odwagą i doświadczeniem życiowym. W czasie wojny on, pacyfista, stał się ważnym przywódcą partyzantki (dostał za to order *légion d'honneur*). Jako młody człowiek zapisał się do partii komunistycznej; w latach, gdy byłem w Paryżu (wojna w Algierii była wtedy w toku), był on jednym z liderów opozycji wewnątrzpartyjnej i wydawał po kryjomu pismo krytykujące politykę partii. Nieco później wystąpił z partii – jak sam powiedział – dla tych samych powodów, dla których kiedyś do niej wstąpił.

Poznałem też Pierre'a Vidala-Naqueta. Spotkałem go po raz pierwszy w Bibliothèque Nationale dzięki uczynnej bibliotekarce Andrée Lhéritier, do której pomocy często się uciekałem, aby się zorientować w skomplikowanych katalogach tej biblioteki. Z Pierre'em Vidalem-Naquetem po pewnym czasie się zaprzyjaźniłem. Kontakty między nim a mną nie tylko trwały, ale także wzmocniły się po moim wyjeździe z Paryża. Podziwiałem jego inteligencję, ogromną wiedzę historyczną, namiętność i odwagę w walkach o dobre sprawy (pierwsza jego książka demaskowała tortury stosowane przez Francuzów w Algierii). Pisaliśmy często do siebie, a gdy przyjeżdżałem do Paryża, zawsze się z nim i z Vernantem spotykałem. On parokrotnie przyjechał do Polski.

Pewną rolę w moim życiu odegrał też Ignace Meyerson, twórca psychologii historycznej, człowiek o bardzo rozległej wiedzy, którego poznałem dzięki Vernantowi, jego wiernemu uczniowi. Meyerson, urodzony w 1888 roku w Warszawie, musiał w roku 1905 uciec z Polski, aby uniknąć aresztowania przez policję

carską po tym, jak on, licealista, wystąpił z mową do robotników przed centralą elektryczną na Powiślu (trudno mi sobie wyobrazić, jak ten człowiek, mówiący cicho i sucho, całkowicie niezdolny do retoryki, mógł wtedy przemówić do robotników). Nie jestem przekonany o spoistości jego koncepcji psychologii historycznej (mam wrażenie, że to, co on badał, to nie są dzieje *psyche*, lecz dzieje „ducha” realizującego się w różnego rodzaju dziełach twórczości ludzkiej); ale w każdym razie jego nauczanie i rozmowy wyostrzyły moją zdolność analizowania i rozumienia konkretnych dzieł kultury. Na przykład pomógł mi on lepiej rozumieć malarstwo współczesne. Miał w swoim malutkim, skromnym mieszkaniu kilka bardzo dobrych obrazów (niefiguratywnych), ofiarowanych mu przez ich twórców. Raz zaprowadził mnie do Musée d'Art Moderne i komentował dla mnie wiele dzieł sztuki.

Muszę wymienić jeszcze jedną wielką osobowość nauki francuskiej tamtego okresu, Louisa Roberta. Chodziłem na jego wykłady o epigrafice greckiej w École Pratique des Hautes Études i później w Collège de France. Miał on bardzo dobry zwyczaj – rzadko spotykany wśród francuskich profesorów – zapraszania studentów obcych narodowości do siebie na kolację. Na jednym z tych spotkań oprócz mnie była obecna pewna dziewczyna, asystentka Instytutu Historycznego w Uniwersytecie Warszawskim. Bardzo mi się spodobało, jak zdecydowanie mówiła *oui* i *non*. Nawiązaliśmy kontakt, był to rok 1959. Ta dziewczyna miała wówczas roczne stypendium w Paryżu, chadzała na seminaria papirologiczne i epigraficzne. Po kilku latach została moją żoną.

Jak rozwinęły się Pańskie zainteresowania naukowe podczas pobytu w Paryżu?

Na wszystkie zajęcia uczęszczałem jako wolny słuchacz, chociaż pewnego razu referowałem coś u Gerneta. Naukowo wróciłem do badania poezji hellenistycznej, tematu, który zainteresował mnie jeszcze podczas studiów u Pasqualego. Chciałem ugryźć to z punktu widzenia historii kultury. Interesowało mnie powstanie i wyodrębnienie się specyficznej kultury intelektualistów w epoce hellenistycznej. Byłem pod silnym wpływem wywodów Antonia Gramsciego, który problematyce pozycji i funkcji różnego rodzaju intelektualistów poświęcił wiele inspirujących uwag. I właśnie jakieś początkowe refleksje nad Teokrytem referowałem u Gerneta. Czułem się jeszcze bardzo niepewnie. Czytałem rozmaite rzeczy związane z historią badań klasycznych w Europie nowożytnej, zwłaszcza w Niemczech. Szukałem własnej drogi naukowej. Ożywiająco działały na mnie nauczanie i publikacje Vernanta, które bardzo podziwiałem, ale czułem, że nie jestem powołany do tego, by iść tą drogą. To samo mogę powiedzieć o moim stosunku do późniejszych publikacji Vidala-Naqueta.

W 1960 roku wróciłem do Włoch i pracowałem jako nauczyciel w liceum. Nie wspominam tego epizodu najlepiej. Ale trwał tylko kilka miesięcy. Ewa mieszkała wtedy z powrotem w Warszawie i doszliśmy do wniosku, że może spróbowałbym zdobyć jakieś stypendium w Polsce. W tym czasie działała wymiana naukowa polsko-włoska. Kandydatów ze strony włoskiej nie było wielu, więc bez problemu uzyskałem stypendium na rok, później przedłużone o kilka miesięcy. Nauczyłem się polskiego. W Warszawie poznałem szefową Ewy, profesor Izę Biezuńską-Małowist,

która, jak już się zorientowała, że zamierzam tutaj zostać, zaczęła szukać mi posady na uniwersytecie. Dzięki niej udało mi się zatrudnić na stanowisku asystenta i przez kilka lat uczyłem łaciny, a od pewnego momentu także greki. Następnie, gdy trochę lepiej umiałem mówić po polsku, zacząłem prowadzić ćwiczenia z historii starożytnej. Szło mi to dość dobrze. Jeszcze później powierzono mi zajęcia z historii historiografii. Nie był to chyba najszcześniejszy pomysł, bo nie potrafiłem tego wyklądać w sposób przystępny i interesujący, ale prowadziłem te zajęcia przez kilka lat. Zrobiłem doktorat, a potem, dość późno, ale nie za późno, habilitację. Seminarium otworzyłem bardzo późno, namówiony do tego przez Marka Węcowskiego; prowadzę je jeszcze dziś, na emeryturze. Nie wiem, czy można je nazwać seminarium: jest to lektura i interpretacja autorów greckich w malutkim gronie.



Prof. Benedetto Bravo w dyskusji z prof. Krzysztofem Pomianem (pierwszy z prawej)
i prof. Lechem Szczuckim (w środku).

Fot. Maciej Przysucha

Jak prezentowała się Warszawa na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku?

Trochę szaro i trochę zimno. Zainteresowałem się Polską jeszcze w Paryżu. Jako marksista dysydent, zupełnie nieortodoksyjny, interesowałem się wydarzeniami polskimi z października 1956 roku. To był promień nadziei, obok tragedii węgierskiej. Wtedy poznałem nazwisko Leszka Kołakowskiego, a pewnego dnia (nie wiem, w którym roku: może 1957?) zobaczyłem go rozmawiającego w małym kręgu intelektualistów

w kawiarni włoskiej Boccardi, niedaleko paryskiej Bibliothèque Nationale (nie pamiętam, kto mi powiedział, że mogę go zobaczyć u Boccardiego; może bibliotekarka z Bibliothèque Nationale?). W czasie, gdy przybyłem do Warszawy, liberalizacja reżimu „realnego socjalizmu” powoli się kurczyła, na co narzekali wszyscy ci, z którymi rozmawiałem w środowisku uniwersyteckim. Bardzo liczyłem na rozmowy o rewizjonizmie marksistowskim. Zupełnie się zawiodłem. Okazało się, że w tym środowisku – w którym w tym czasie dyskutowało się swobodnie i otwarcie – temat ten przestał już być aktualny i interesujący. Nadzieja na „socjalizm z ludzką twarzą”, mający powstać na gruncie światopoglądu marksistowskiego, była już nikła lub żadna. W głowach tych, którzy kilka lat wcześniej byli rewizjonistami, marksizm umierał lub już umarł, zduszony doświadczeniem „socjalizmu realnego”. Ja nie bardzo byłem skłonny zrezygnować z mojej nadziei, z poglądów, które podzielałem z moimi przyjaciółmi włoskimi i francuskimi. Ustępowałem powoli, ale krok za krokiem nieustannie ustępowałem. Mój marksizm rewizjonistyczny także wygasł. Ostatnim, definitywnym ciosem były haniebne wydarzenia, które miały miejsce w Polsce w marcu 1968 roku. Dobrze się czułem w grupie starożytników kierowanej przez profesor Izę Biezuńską-Malowist. Biezuńska umiejętnie i solidnie prowadziła swój zespół. Od niej i od jej zespołu – zwłaszcza od mojej żony – nauczyłem się dyscypliny w pracy dydaktycznej.

Za to byłem roztrzępany, jeżeli chodzi o zainteresowania naukowe. Początkowo kontynuowałem badania nad intelektualistami hellenistycznymi, ale nie widać było konkretnych efektów na horyzoncie. Profesor Biezuńska poradziła mi napisać pracę doktorską na temat XIX-wiecznych badań nad starożytnością, o których dużo czytałem już od pobytu w Hamburgu. Tam natrafiłem przypadkowo na zbiór artykułów Arnalda Momigliano pod tytułem *Contributo alla storia degli studi classici* (wciąż pamiętam chwilę, gdy po raz pierwszy wziąłem go z półki w przedpokoju biura dyrektora Włoskiego Instytutu Kultury w Hamburgu) i gruntownie go przestudiowałem; te, a później inne prace tego uczonego stały się dla mnie ważnym bodźcem. Porada profesor Biezuńskiej była słuszną i zbawczą. Zająłem się pracami Droysena o starożytności; wykazałem, jak heglowski światopogląd pobudził jego badania historyczne oraz jak w konkretnej pracy nad źródłami ten heglista, uczeń filologa Augusta Boeckha, odkrył coś, czego ten światopogląd nie przewidywał. W 1964 roku zrobiłem doktorat, który, nieco przerobiony, stał się moją pierwszą publikacją (1968). Muszę tu wspomnieć, że duży wpływ na moje myślenie o historii historiografii i idei miał Bronisław Baczko i zgromadzona wokół niego grupa badaczy. Uczęszczałem (w Pałacu Staszica) na jego seminarium, bardzo interesujące, zwłaszcza gdy mówił sam Baczko. Nawiązałem ponadto kontakt z Krzysztofem Pomianem. Z dużym zainteresowaniem czytałem jego książkę *Przeszłość jako przedmiot wiary* oraz maszynopis jego książki *Przeszłość jako przedmiot wiedzy* (która w marcu 1968 roku była gotowa do druku, ale wydarzenia marcowe go uniemożliwiły). Czytałem pilnie Kołakowskiego. Zławszcza jedna jego książka bardzo mi pomogła – *Obecność mitu*. Przeczytałem ją w maszynopisie. Kołakowski przed wymuszonym wyjazdem z Polski zostawił kopię maszynopisu Irenie Krońskiej i ona mi ją udostępniła. Z historyków niezwykle ważny był dla mnie Witold Kula. Bardzo dużo mu zawdzięczam. Przyczyniłem się do tłumaczenia jego książki

Teoria ekonomiczna ustroju feudalnego. Próba modelu. Początkowo poprawiałem niezbyt udane cudze tłumaczenie na włoski, ale autor zaczął uzupełniać tekst i owe uzupełnienia przełożone już przeze mnie złożyły się na nowe wydanie, które ukazało się we Włoszech i które, na życzenie Kuli, stało się później podstawą przekładu na angielski. Ta i inne książki Kuli oraz rozmowy z nim pokazały mi, jak tworzyć modele historyczne. To samo mogę powiedzieć o książkach (wspaniale napisanych) jego znakomitego ucznia, Jerzego Jedlickiego, zwłaszcza o książce pod tytułem *Klejnot i bariery społeczne*. Ciekawe jest to, że obok Witolda Kuli i Jerzego Jedlickiego także Baczek, Pomian i Kołakowski mieli wspaniałą umiejętność budowania modeli inspirujących do dalszych badań lub po prostu refleksji. Wystarczy wspomnieć *Świadomość religijną i więź kościelną* tego ostatniego.

Czy Iza Biezuńska-Malowist była dla Pana Profesora mistrzynią intelektualną?

Nie. Biezuńska raczej organizowała moją działalność dydaktyczną; ponadto, jak już powiedziałem, udzieliła mi cennej rady w sprawie wyboru kierunku badań dla doktoratu. Zainteresowania naukowe Biezuńskiej, której dokonania oczywiście bardzo cenię, nie były dla mnie inspirujące.

Doktorat poświęcił Pan Profesor Droysenowi i historii historiografii. A co stało się tematem rozprawy habilitacyjnej?

Wybór tematu był skutkiem łańcuchu badań, którego początkiem był przypadek. Gdy mój syn był chory na ospę, zaraził mnie i dwa-trzy tygodnie musiałem spędzić w domu. Był to początek 1972 roku. Parę tygodni wcześniej Jan Trynkowski pokazał mi w czasopiśmie „Wiestnik Driewniej Istorii” świeżą publikację tabliczki ołowianej, znalezionej przypadkowo przez Jurija Giermanowicza Winogradowa na małej wyspie blisko Olbii i zawierającej najstarszy znany wówczas list grecki (napisany przez jakiegoś kupca około roku 500 p.n.e.). Korzystając z urlopu zdrowotnego, przyglądałem się tej tabliczce i od razu zauważyłem, że można ją odczytać inaczej, niż uczynił to wydawca. Szybko doszedłem do częściowo nowej lektury. Ale po to, by porządnie interpretować ten tekst, trzeba było zająć się dziejami Greków na północnym wybrzeżu Morza Czarnego, zapoznać się z wynikami badań archeologów rosyjskich i ukraińskich. Po powrocie do zdrowia zacząłem to robić. W stawianiu pierwszych kroków na tym nieznanym mi przedtem gruncie pomogła mi archeolożka Aleksandra Wąsowicz. Latem 1972 roku zreferowałem postępy mojej pracy nad tą tabliczką ołowianą Vidalowi-Naquetowi (listownie) i historykowi Denisowi van Berchemowi, którego poznałem podczas miesięcznego pobytu w Fondation Hardt pod Genewą. Wskazali mi oni – jednocześnie, niezależnie od siebie – pewną koncepcję stosunków prawnych w Grecji archaicznej i klasycznej, ogłoszoną w roku 1889 przez Rodolphe’a Dareste’a, którą należało rozważyć dokonując interpretacji wspomnianego listu znad Morza Czarnego. Zająłem się więc tą koncepcją. Okazało się, że nie jest ona zadowalająca. Powoli pole badań się rozszerzało i ostatecznie powstała praca habilitacyjna pod tytułem *Sulân. Représailles et justice privée contre des étrangers*

dans les cités grecques, opublikowana w 1980 roku w serii „Annali della Scuola Superiore di Pisa”. Można powiedzieć, że habilitacja powstała z ospy.

Z tamtej ospy zresztą powstało dużo więcej rzeczy. Swoją lekturę i interpretację owego listu na ołowiu opublikowałem w 1974 roku, ale moje rozmyślenia o nim trwały dalej. Zastanawiałem się nad społeczną organizacją i społeczną rolą oraz oceną handlu morskiego Greków VI i V wieku p.n.e. Powoli dochodziłem do przekonania, że koncepcja społeczeństwa greckiego okresu archaicznego i klasycznego, jaką przedstawił Johannes Hasebroek pod wpływem prac Maksa Webera, była błędna. Wreszcie, pamiętając o tym, co o szlachcie polskiej XVII, XVIII i pierwszej połowy XIX wieku napisali Kula i Jedlicki, doszedłem do wniosku, że w *poleis* archaicznych obywatele (*politai*) to „stan” wewnętrznie bardzo zróżnicowany, ale ideologicznie stosunkowo spójny, całościowo oddzielony od reszty społeczeństwa. Nie mogę tu rozwinąć i konkretnie wyjaśnić tej myśli. Wystarczy powiedzieć, że leży ona u podstaw wielu moich publikacji.

Praca nad owym listem na ołowiu doprowadziła mnie ponadto do badań nad dziejami Greków osiadłych u ujścia Dniepru i Bohu. Śledziłem prace archeologów rosyjskich i ukraińskich, a przy okazji interpretowałem inne teksty napisane na tabliczkach ołowianych, które archeolodzy ciągle znajdowali na północnym wybrzeżu Morza Czarnego. Te zainteresowania szły w parze z moimi zainteresowaniami Herodotem, którego IV księga dotyczy między innymi Scytów i Scytii. Scytami intensywnie zajmowali się nie tylko ukraińscy i rosyjscy archeolodzy, ale także rosyjscy orientaliści; przeczytałem z wielką przyjemnością parę ich prac, krytycznie i twórczo wykorzystujących oraz zmieniających koncepcję strukturalistyczną Benveniste’a i Dumézila. O Herodotowym opisie Scytii napisałem całą książkę. Grekom znad Morza Czarnego poświęcam książkę pod tytułem *Pontica varia*, nad którą obecnie pracuję.

Jak wyglądały Pana stosunki ze studentami?

Na wykładach ich nudziłem, to na pewno. Nie wykladam dobrze. Ale ćwiczenia prowadziłem dość dobrze, przynajmniej tak uważam; w każdym razie studenci się nie skarżyli ani nie nudzili. Czy byłem surowy? Chyba nie. Widzą Panowie, wcześniej wspominałem o krótkim epizodzie pracy w liceum. Było to bardzo nieudane doświadczenie, bo kilkunastoletnich uczniów traktowałem jak dorosłych, a oni uznawali to za słabość i brak autorytetu. Gdy wyruszałem na tę posadę, dyrektor domu włoskiego w paryskiej *cit  universitaire* powiedział mi:

– Niech pan pamięta, że wchodząc do klasy, wchodzi pan do klatki tygrysów! Niech pan weźmie bat.

Nigdy nie brałem bata. Ale dobrym nauczycielem nie byłem. Na swoje pocieszenie dodam, że w roli uczestnika-kierownika dyskusji na seminarium uniwersyteckim zawsze dobrze się czułem. Będąc teraz na emeryturze nadal prowadzę seminarium w małym gronie.

a.gillmeister@ih.uz.zgora.pl
adrian.szopa@up.krakow.pl

ARGUMENTUM

Benedictus Bravo, Universitatis Varsoviensis professor de rebus a Graecis gestis scrutandis optime meritis, cum Andrea Gillmeister et Hadriano Szopa de vita sua ac studiis loquitur.



Ten utwór jest dostępny na warunkach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 4.0 Międzynarodowe (CC BY 4.0), która umożliwia nieograniczone korzystanie, rozpowszechnianie i kopiowanie utworu pod warunkiem odpowiedniego oznaczenia autora i źródła.
Zob. <https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/deed.pl>